



Wielcy ludzie

Jan III Sobieski



Straszna burza szalała nad Oleskiem. Błyskawice rozrywały niebo, a pioruny grzmiały, trafiając w wysokie drzewa i w baszty wysoko wzniesionego zamku. W izbie czeladnej skupiły się wszystkie kobiety służebne. Tułąc się lekliwie do siebie, spoglądały przez okna na niebo, spływające potokami deszczu. Przy każdym silniejszym uderzeniu pioruna kobiety żegnały się nabożnie, powtarzając:

— A Słowo Ciałem się stało!

Nagle huk potężniejszy, niż inne rozdarł powietrze. Przez chwilę zdawało się, że cały zamek idzie w gruzy.

— Kto się w opiekę poda Panu swemu..

— drżącym głosem zaczęła modlitwę jedna z kobiet.

Błask pożaru oświetlił izbę czerwonym światłem. Kobiety rzuciły się do okien.

— Pali się stara lipa w sadzie! — wykrzyknęła któraś.

— Deszcz zdusi ogień! — uspokoiła inna, widząc że płynąca strumieniami woda deszczowa gasi szybko wzniesiony przez piorun ogień.

— Patrzajcie! Piorun trafił widać w stół pod lipą, bo kamienna płyta rozłupała się na połowy.

— Jakem stara, tak nie pamiętam jeszcze takiej strasznej burzy — oświadczyła klucznica.

Trwożliwe rozmowy przerwało wejście do czeladnej izby jeszcze jednej kobiety. Była to stara Makryna, zaufana sługa pani wojewodziny Sobieskiej i dawna jej piastunka.

— Co tam, Makryno, na pokojach słychać? — spytała klucznica.

— Ano, cieszymy się! Mamy nowego dziedzica. Urodził się syn, chłopak, jak malowanie.

— Dzięki Bogu, że syn. Pan wojewoda rad będzie z tego.

— Na taki czas, to chłopcy potrzebniejsi, niż dziewczęta.

— Jakież to będą losy chłopca, co się wśród takiej burzy urodził! — westchnęła któraś z kobiet.

A nie taka tylko burza szalała wtedy nad Polską.

Ordy tatarskie coraz częściej zapusz-

czwały swe zagony na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej. Wszystkie grody i zamki kresowe stałe musiały być gotowe na odparcie tych napadów.

W czasie gdy na świat przyszedł młody wojewódzki ruski Jan Sobieski, od tatarskich napadów bronili jeszcze kraj wierni Polscy Kozacy. Ale wkrótce hetman ich Bohdan Chmielnicki z wrogami wdał się w konszachty. Rzeczypospolita nie tylko straciła straż graniczną, ale przybył jej nowy nieprzyjaciel, z którym ciężkie trzeba było staczać boje. Polska, a szczególnie na wschodnie jej ziemie, spływała krwią, płonęła łuną pożarów.

W takich czasach rósł i wychowywał się Jan Sobieski. Wzrastał w rycerskich tradycjach, bo z rycerskiej pochodził rodziny. Zarówno ojciec jego, Jakób, kasztelan krakowski i wojewoda ruski, jak i dziad, Marek Sobieski, starosta lubelski, towarzyszył królowi Stefanowi Batorego i hetmanowi Janowi Zamojskiemu, dzielnymi byli rycerzami. Po kadzieli znów, czyli ze strony matki, z domu Danilowiczówny, był Jan Sobieski prawnukiem wielkiego hetmana i nieskazitelnego rycerza, Stanisława Żółkiewskiego.

Od lat młodych razem z bratem swym Markiem oddawał się wojewódzkiej ćwiczeniom wojennym i nauce. Sposobił się na wodza, a wodzowi przecież potrzebna jest nie tylko odwaga, ale i głęboka umiejętność. Sztukę wojskową studiując nietylko praktycznie, wyjeżdżali młodzi Sobiescy za granicę, a niezadługo w licznych wojnach mieli sposobność zastosować ją.

Jan Sobieski zwrócił na siebie szybko uwagę swych dowódców. W młodym wieku wykazywał wielką rożną i nielada umiejętność, — najważniejsze cechy dobrego wodza. Toteż posuwał się szybko w godnościach i znaczeniu.

Zasługą własną zdobywał stopnie wojskowe, aż do najwyższej — wielkiego hetmana koronnego. A gdy rozgromiłszy Turków pod Chocimem, nowymi wawrzynami się okrył, szlachta polska zwycięskiego hetmana wybrała na króla.

Dziecko, które ujrzało świat w czasie strasznej burzy, całe życie pełne miało burz i wojen.

Najpamiętniejsza była wojna z Turkami, których Jan III, na odsiecz Wiedniowi spiesząc, w bitwie wielkiej rozbił zupełnie.

W. T.

W I E R S Z Y K I

Dzidzi Charwatówna

NA POZEGNANIE TATUSIA

Tatusiu, moje kochanie!
Niech Ci się dobrze uda polowanie!
Przywieź z powrotem bażantów

sześć,

By Twoi goście mieli co jeść.
Nie przywoź dzika, bo ta bestia gruba,
Chociaż z niej wielka myśliwego

chluba,

Na nic się przydać nie chce ani w
domu,

Ani jej posłać nie można nikomu.

Więc wracaj zdrowy, chudszy i
wesely,

A my się będziemy cieszyć, jak anioły.

POLOWANIE

Tatus, idąc po ścieżce, cicho czatuje.

Stanie, słucha, patrzy, — dzika

wypatruje.

Wtem słyszy szelest: to zapewne dzik...

Strzelbę z ramienia zdejmując w mig

I długo mierzy, mierzy, mierzy...

Że go upoluje, w to mocno wierzy.

Wreszcie po długim mierzeniu wypalił,

Zwierz na ziemię z nóg się zwałił;

Tatus biegnie: im bliżej jest, tym
mniejszy zwierz mu się wydaje

Ale się pociesza: są go pewnie różne
rodzaje.

Już blisko — patrzy:

to mały kotek

co wlaź na płotek

i siedział,

Że go taki los spotka

nie wiedział.

Dzidzi Charwatówna

A JAK DOROSNĘ

A jak dorosnę, to żołnierzem będę,
Brzęknę ostrogami, konika dosiędę.

I ten pałasz wielki tatusia przypaszę,
Nigdy nie pozwolę, by wróg wziął

to nasze.

A jak ja dorosnę. Gdy zagra

muzyka,

Zobaczycie wszyscy, kto naprzód

pomyka?

Kto naprzód pomyka i ulany

wiedzie?

Kto na swym kasztanku ostro,

śmiało jedzie?

A. C.

WSTAŁO SŁONKO...

Wstało słonko od rana,
złote oczy przetarło
i spojrzalo przez chmury
na tę ziemię zamaria.
Biały cafun śniegowy
na jej zimnym legł łonie,
a szron cudnie rzeźbiony
poprzystrajał drzew skronie.
Wybiegają dzieciaki
roześmiane, serdeczne,
patrzac wzrokiem radosnym
na te dziwy bajeczne.
Gwar i wrzawa wesola
aż pod niebo, heń! bieży,
hujna radość i szczęście
kipią w sercach młodzieży.
Lecą śmiechy, wołania,
tętni w żyłach krew młoda,
słońce wabi ją złote
i przestrzeni swoboda.

Natalia Rakowiecka

NA SANECZKI!

Na saneczki, na saneczki!
Zima ostra, wokół bialo,
skrzącym torem wyslizganym
setki dzieci już jechało.
na saneczki! hahahahal!
Niech ucieka, kto ma stracha.
Na saneczki, na saneczki!
Zimno w buzie, ciepło w sobie,
drzewa szronem ubielone,
mróz nas ostrą brodą skrobie,
lecz z nas wszystkich tęgie zuchy.
twarze jasne, rześkie ruchy.
Na saneczki, na saneczki!
Krzyk i śmiechy, pęd szalony,
jak rozkosznie, jak wesolo,
szlak przed nami wysrebrzony.
Lećmy, lećmy, jak te ptaki,
polskiej ziemi zawadiaki.
Na saneczki, na saneczki!
Buzie płoną rumieńcami,
jak karminem malowane,
oczy błyszczą nam iskrami;
uprawiamy śliczny, zdrowy
ulubiony sport zimowy.

Natalia Rakowiecka

KASIA SIĘ WSTYDZI

Przyleciał gołabek
przez wysoki dąbek,
zajrzał do Kasięńki,
czy u niej porządek?
A u tej Kasięńki
kura barszcz gotuje
pies izbę zamiatą
kotek usluguje.

Świnie w piecu ryją,
kaczki miski myją
a tyżki pod ława
zarosły murawą!
Gołabeczek długo
na oknie nie siedział,
— co widział, co słyszał,
wszystkim rozpoviedział...
Od tej pory Kasia
ogromnie się wstydzi
i sprząta, czy ją kto
widzi, czy nie widzi.

E. S. Z.

MARYŚ ULANEM

Oj, mamusiu, oj, kochana,
już z synusia masz ulana!
na koniku goni
i ojczyzny broni.
Już szabelkę ma przy boku,
zmusza konia już do skoku!
choć drewniany konik mój,
patrz, jak dzielnie ruszam w bój!
Oj, mamusiu, siadaj w oknie,
niech ci buzia we łzach moknie,
bo twój ulan jedzie,
w kompanii na przedzie.
Odsłoń oczka, pokaż łzy,
czy naprawdę płaczesz ty?
nie płacz! Nie płacz! Już wróciłem,
na wojence wszak nie byłem!
Matus! Matus! ukochana
czemuś tak zaplakana?
— To w spomniałam synku mój,
jak twój ojciec ruszał w bój!

Maria Czeska-Mączyńska

NASZA BIBLIOTEKA

Hej, stanęła dziatwa w koło,
radość ją tu czeka.
Już otwarta z rokiem nowym
Nasza biblioteka.
Ile szczęścia i radości
w książkach tych się mieścił!
Ileż cudnych tu bajeczek,
legend i powieści!
Dawne dzieje, sławne boje
w umyśle się ważą,
wielkie cnoty bohaterstwa
i nam żyć tak każą.
Więc też umysł wzbogacamy:
w książkach mądrość skryta.
Ten jest mądry i szlachetny,
kto książeczki czytał!
O! książeczki sercu drogim,
szczerze was kochamy.
Wy dajecie chwile błogie,
wiec chętnie czytamy!

Maria Studnicka

Nad światem kryształów

Z hangaru przy zatoce Królewskiej, w Ameryce Północnej, w maju 1926 r. wznosił się ku górze wielki ptak — statek powietrzny. Zwał się Norge. Siedziało w nim kilku zuchwalców. Jechali oni z zamiarem wydarcia naturze jednej z jej największych i usilnie skrywanych tajemnic, której strzegł niezwalczony, zdawało się, potwór — mróz. A chociaż szlak przez nich obrany, znaczony był niejednokrotnie szczątkami śmialków, takich jak i oni, jechali jednak ufni, że uda im się dotrzeć tam, dokąd żaden żywy człowiek jeszcze dostać się nie mógł.

Było ich siedmiu. Do różnych należeli narodowości, łączyło ich jednak to samo pragnienie wiedzy. Na czele był Norweg Amudsen, organizator całej wyprawy.

Cel ich podróży to biegun północny, gdzie pustka straszliwa i grobowa cisza lekkiem przejmie odważne nawet dusze. Chcieli poprzez niego dostać się na drugą stronę, której dotąd nie oglądały oczy człowieka a gdzie zdaniem wielu podróżników znajdować miał się ląd. Chcieli przy tym zbadać prądy magnetyczne obiegające ziemię i dopełnić pewnych badań atmosferycznych. Ostatcznym zaś krańcem ich podróży był półwysep Alaska a na nim wioska Teler, gdzie wylądować zamierzali.

Wielu z tych uczestników należało już do poprzedniej, nieudanej wyprawy Amudsen, a trzech spomiędzy nich spędziło wtedy 25 dni na rozległej płaszczynie lodowej — odcięci od świata i wszelkich z nim stosunków.

Przy budowie i urzędowaniu samolotu skorzystano z poprzednich doświadczeń. więc wybrali się teraz zaopatrzeni w wszelkie przyrządy, potrzebne do porozumiewania się z nadbrzeżnymi stacjami radiotelegraficznymi, w zapasy żywności i ciepłe płyny w termosach.

Zajęcia na samolocie nie brakowało. Pomiaru temperatury, wiatrów i prądów powietrznych, porozumiewanie się ze stacjami, zapiski — wszystko to pachłaniało czas podróżnych.

Zaraz od początku błyszczało ku nim siedem gór lodowych ze Spitzbergu, archipelagu położonego przy zachodnim brzegu Grenlandii. Jechali stroną jego zachodnią. Wkrótce jednak zniknął im sprzed oczu ostatni nawet rąbek ziemi i nie nie widzieli prócz olbrzymich pól i wynio-

słości lodowych. Płynęli wśród błękitów przczystego nieba, bez śladu chmurki na nim, zawieszeni jakby nad światem szlifowanych kryształów, w których, jak w bajce z lat dzieciennych, łamały się promienie jaskrawego słońca północy, sypiąc iskrami w około, mieniącymi się różnokolorowymi barwami tęczy.

Załoga, choć morze blasków miała pod stopami, obojętną była na te cuda. Uzbrowieni w lunety wypatrywali ładu, ale nigdzie, najdalej nawet na horyzoncie nie ukazała się im ziemia, tylko wszędzie olbrzymie lodowiska, poprzecinane szczelinami, które z góry wygądały, jak wąskie i kręte kanały.

Lecieli z wielką szybkością, otuleni jednak byli futrami, a że słońce grzało, więc zimno nie dawało im się we znaki. Coraz częściej spotykali igrające stada wspaniałych morskich psów i trudne do rozróżnienia wśród otaczającej je biele białe niedźwiedzie. Lecz wkrótce zniknęły i te ostatnie ślady organicznego życia a tylko ruchomy cień statku, odbijający się na płaszczyznach, na dole, świadczył o istnieniu, chociaż chwilowym, ludzkiego życia w tych stronach.

Gdy znaleźli się na tym miejscu, gdzie rok przed tym trzech musiało opuścić się na niegościnnie pole lodowe i tam czas jakiś pozostać, zwolnili lotu i obniżyli go na moment. Była to dla nich chwila uroczysta!

Pomyślna pogoda zaczęła się psuć. Otoczyła ich gęsta mgła, a gdy im się udało wzbic ponad nią, mieli wrazenie, że u spodu faluje wzburzony ocean. Dręczyła ich przy tym obawa, by mgła nie zechciała towarzyszyć im i nad biegunem i zniszczyć tym sposobem cały wynik wyprawy. Przy tym z powodu braku słońca zimno im było okropnie. Nogi jako tako chroniła specjalna trawa w butach, ale odkryte z musu ręce, z trudnością poruszały się przy aparatach.

Los im jednak sprzyjał widocznie. Mgła się rozwiąta.

Dnia 12-go maja 1926 r. o godzinie 1 m. 50 w południe Norge znalazł się nad miejscem świata, najdalej wysuniętym ku północy, lecz śladu zwierzęcego życia nigdzie widać nie było, tylko bezgranicznie, w słońcu błyszczące pola lodowe, przereźnięte szczelinami jak kanałami. Pustka i martwota w około. Gdy zawisli nad samym

biegunem, obniżyli lot do 100 metrów ponad nim i otworzyli w łódce okno, przez które kolejno spuścili trzy chorągwie: norweską, amerykańską i włoską — dary tych trzech rządów. Wszystkie trzy znalazły silne oparcie w lodowej szczelinie.

Norge zwolnionym biegiem okrążyli biegun, a zwróciwszy się ku południowi, puścili się w strony, o których poznanie nikt się jeszcze dotąd nie pokusił. A jednocześnie telegram radiowy po całym świecie rozniósł wiadomość, że flagi trzech państw zawisły na biegunie.

O godzinie 7-jej wieczorem dotarli do miejsca, które nazwałoby można ojczyzną lodowców, tak piętrzyły się jedne na drugich.

Dotychczas naszym podróżnym wiodło się doskonale, odąd jednak zaczęło się szybko odmiać. Piętrzyły się trudności.

Najpierw odezwała się gwałtowna, nieprzemierzona prawie potrzeba snu, od wyruszenia bowiem z zatoki Królewskiej nie zasnęli ani chwili wypoczynku: raz z powodu zimna coraz dotkliwszego, na które żadne futro nie było ochroną, a po drugie wskutek ogłuszającego huku motoru, przy którym spać mogła tylko Filina, psina zabrana przez włoskiego pułkownika Nobila. Upadali więc ze znużenia a głód i pragnienie dokuczały im bezlitośnie: termosy bowiem zamarzyły a z obawy pożaru ognia ropalić nie mogli. Wiktuały zaś tak zlodowaciały, że tylko pogryzając biskopkę i czekoladę, oszukiwali dręczącą potrzebę jedzenia.

Wskutek zaburzeń elektrycznych w atmosferze, co wykazywały badania jednego z uczestników, gniebił ich również i brak depeza a wskutek tego tak im potrzebnych wiadomości; meteorologicznych ze stacji nadbrzeżnych.

Ostatni telegram, jaki odebrali, pochodził z Alaski i donosił, że cyklon szaleje w cieśninie Berynga, między Azją a Ameryką.

Odtąd już nie! Żaden głos ze świata nie dawał się słyszeć, żadnych wiadomości z osiedli ludzkich; Norge bujał w powietrzu samotny, opuszczony, bez żadnej styczności z tym, co żyjące.

Tymczasem lód narastał około statku coraz więcej. Niektóre części motoru były pokryte skorupą lodową a odrywające się od niej kuleczki padały na powłokę statku, dziurawiąc ją tu i owdzie.

Niebezpieczeństwo tak było wielkie, że zaczęli się liczyć z koniecznością wylądowania i pieszej wędrówki do Alaski. Dla

zażegnania tego, cała załoga zebrała się do łatania dziur, porzuciwszy inne zajęcia. Śmiga, która także była bombardowana przez kulki, na szczęście okazała się mocną i wytrzymała wszystkie ataki.

Mgła pod nimi gęstniała coraz bardziej, a tylko tu i owdzie otwierające się wśród niej szczeliny pozwalały im sprawdzić, że i tu nie ma lądu.

13-go maja zaświtał im promyk nadziei. Zauważyli oznaki, zapowiadające bliskość ziemi: kanały stawały się coraz szersze, ukazało się morze wolne od lodów a wkrótce jeden z uczestników, patrząc przez lunetę, wykrzyknął radośnie: „ziemia!”

Istotnie w oddali majaczyła ziemia — cypel Barrow na Alasce. Zbliżali się więc do końca podróży, przebiegłszy lotem ptaka nieznaną część kuli ziemskiej.

I mogli stwierdzić, że przez wielu podróżników oczekiwany ląd tam nie istnieje i że jest tu wyłącznie państwo lodu — prócz niego nic tam nie ma!

Puścili się teraz ku południowi, ku cieśninie Berynga i rozpoczęli najniebezpieczniejszą część swej podróży.

Nareszcie udało im się pochwycić telegram, idący z Nome na Alasce do innej jakiejś stacji i to pozwoliło im nieco ustalić ich położenie.

Z radością obliczyli, że są niedaleko Teler, celu ich podróży. Zaczęły się przygotowania do lądowania. A choć przeskadała silna wichura, opuścili na ziemię gruby worek z dwiema kotwicami specjalnego rodzaju.

Korzystając z pomyślnej okoliczności, zaczęli lot obniżać, a gdy się znaleźli blisko ziemi, dwóch z pomiędzy załogi zeskokczyło z samolotu i przy pomocy mieszkańców z Teler przyciągnęli Norge ku chatom Eskimosów.

Statek i cenne aparaty pozostały nieszkodzone, co dumą napełniało serca dzielnych podróżników.

Była to dla nich rozkosz niewypowiedziana wyczuć twardy grunt pod stopami i nie słyszeć huku motoru, co towarzyszył im bez przestanku w ciągu całej podróży. Opuścili powierzchnię ziemi 11-go maja 1926 r., powrócili na nią 14 maja. Pozostawali zatem przez 71 godzin wśród niezmiernych przestworzy.

Pierwszy ciepły posiłek od wyjazdu przyrządzili im Eskimosi w Teler. Lecz głównym ich pożądanym był sen. Spać, spać — wyspać się za wszystkie czasy — o tym tylko marzyli!

H. Michałeczka

2) O trzech młynarczykach

Wyrzucić chce je w gniewie, gdy napsy dziwne zwróciły moją uwagę.

Na kluczyku wyryte było: „Otwieram wszystkie drzwi”.

Na gwizdawce: „Głos mój zamyka, coś kluczem otworzył”.

Na haczyku: „Złote rybki łapię”.

Zbawienie moje i szczęście znalazłem w tej szkatułce. Pootwieralem wszystkie piwnice, gdzie beczki stały stuletnie, pełne win węgierskich i miodów starych.

Rzucili się na nie zbóje i pić zaczęli łapczywie. Gwizdłem wtedy z całej siły.

Huk zatraskających się drzwi rozległ się w okolo, a za nim jęk przerażonych więźniów, zamkniętych na wieki.

Byłem wolny, byłem panem pałacu.

I żyję teraz szczęśliwy i bogaty. Gdy mi pieniędzy potrzeba, jadę na morze i rybek złotych łowię na haczyk zaklęty tyle, ile zapragne.

— Piękna twoja historia, bracie — powiedział średni syn Maciej, — posłuchajcie teraz mojej.

Zgodziłem się za pastucha do bogatego pana. Sto owiec i sto baranów wyganiałem codziennie na łąki okoliczne. Wyznaaczył mi pan granicę: „Pilnować będziesz, by żadne bydło granicy tej nie przekroczyło, bo zły czarodziej tam włada; zagarnie je i ty sam zginiiesz marnie”. Pilnowałem i strzegłem. Ale łąki pańskie miżerne były i chude, a łąki czarodzieja soczyste i bujne. Patrzyłem na nie i spokoju nie miałem.

— Ja przepędzać muszę moje stada z miejsca na miejsce, myślę sobie, a tu dzień cały pasać się mogą spokojnie. Nikt nie pilnuje, nie pasie, nie kosi. Ja pasać będę!

Poszedłem do lipiny granicznej, urządziłem tęgi kij lipowy i puszczam bydło przez zakazaną granicę. Aż tu wychodzi dwóch zuchwałców.

— Któż ci tu paść pozwolił? — wołają i z mieczami idą na mnie.

Podnoszę mój kij w obronę, lecz myślę: — Otóż śmierć moja! A tu, jak nie zacznie kij sam bić w lewo, bije w prawo — ubiłem zuchwałców.

Zaklęta była lipina graniczna.

I zrazajutr — uzbrojony w mój kij sa-

mobij, śmiało zagnałem me stada na łąki czarodzieja, pędzę je głęboko w trawy soczyste i na wrogów czekam.

Czterech na mnie wybiegło, czterech do walki się rzuciło. Ja tylko kijem ruszyłem — już wszyscy leżą pokonani.

Na trzeci dzień sześciu mnie otoczyło i sam czarodziej za nimi. Strach mnie ogarnął, gdym dziwaczną jego postać zoczył i w błyszczące zajrzałem oczy. Ale w kiju moim straszna siła była: sześciu pokonałem, na czarodzieja śmiało się zamierzam.

— Położyłem twoich sług dwunastu, teraz na ciebie kolej! — zawołałem. Ułakł się czarodziej, że kij — somobij zdobyłem i prosí w pokorze: — Nie gub mnie, a spełnię każde twe żądanie. Gdy zawołasz na mnie trzykrotnie, stanę na twe usługi.

Darowałem mu życie i wróciłem do domu.

Wieczorem słyszę, że pan konia kazał sobie szykować dzielnego i zbroję czyścić bogatą. Bo król ogłosił na wszystkie strony świata, że córkę swą, piękną królową temu odda za żonę, kto, dosiadłszy ruma-ka, na wieżę skoczyci zamkową i przed królową się pokłoni.

Pojechał pan mój, a ja owce zamknąłem do owczarni, pod lipę idę i czarodzieja trzykrotnie przyzywam.

Stał przede mną, jakby z ziemi wyrósł. — Wiem, czego pragniesz — rzecze i gwizdnął przeciągle.

Pociemniało, jak od chmury gradowej, zahuczało, jak poszumy wiatru halnego i ukazał się koń, nie koń, cudo koni. Jak burza rączy, jak kruk czarny z nozdrzy mu ogień bucha, kopytami niecierpliwie bije.

Wskoczyłem nań, cugle ściągnąłem i w mig na dworze stanąłem królewskim. Tłumy rycerstwa ze wszystkich stron świata szczęścia próbować przybyły. Już setki współzawodników odjechało bez nadziei, setki leżało rannych. Przyszła kolej na mnie.

Rozpędziłem się na mym kruczym rumaku, wskoczyłem na wieżę wysoką i kłęknałem przed królową, która na zwyciężcę czekała.

Jak aniół piękna, królowa się sploniła i rączkę mi podała.

DCN.

Glina, wapno i piasek

Do wielce pożytecznych rzeczy, znajdujących się w ziemi, należą: glina, wapno i piasek.

Glina zarobiona z wodą, staje się bardzo lepka i daje się ugniatać, jak ciasto. Ciasto takie gliniane, gdy wyschnie, jest kruche i sypkie; wypalone jednak staje się mocne i twarde.

Garnciarz, który z gliny wyrabia różne naczynia, jak: misy, garnki, wypala je w piecu, umyślnie do tego zbudowanym. Przed wyjęciem z pieca, naczynia gliniane posypuje solą, lub innym proszkiem. Proszek ten wskutek gorąca topnieje, a następnie zastyga i tworzy na naczyniu szklaną, świecąca powłokę, którą nazywamy polewą. Gdy językiem dotknemy gliny niepolewanej, język schnie i przylepia się, a gdy świeżą tłuścą plamę posmarujemy gliną, tłuścizna wsiąka w glinę i plama znika. Naczynia niepolewane nasiąkałyby tłuścizną i różnymi cieczami i nie byłyby dobre do użycia.

Glina biała, z której robią talerze, filiżanki i miseczki, nazywamy fajansem. Porcelana jest także gliną, zupełnie czystą. Naczynia porcelanowe poznać łatwo, gdyż patrząc przez nie, można widzieć światło.

Glina zwyczajna jest najczęściej żółta,

w ogniu zmienia się na czerwoną. Z niej wyrabia strycharz cegły i dachówki. Z cegiel murarz wznosi mury; ażeby się mocno trzymały, spaja je tynkiem, to jest mieszaniną wapna z piaskiem.

Wszyscy wiedzą, że piasek znajduje się nad brzegami wód i na ich dnie. Skąd on się tam bierze? Wody, ściekając z gór, wyrwywają z nich różne kamienie; te, krusząc się jedne o drugie, ścierają się. Z tego mamy piasek. Piasek o wielkich ziarnkach nazywa się żwirem.

Wapno gotowe w ziemi się nie znajduje, tylko biały kamień wapienny, zwany wapieniem. Kreda jest także wapieniem. Chcąc z kamienia wapiennego otrzymać wapno, trzeba go wypalać w piecu wapiennym. Jeżeli wapien był dobry, to po wypaleniu, zalany wodą, rozgrzeje się, a później rozsypie. Wapno, raz wodą zalane, już więcej się nie rozgrzewa i dlatego nazywa się gaszonym. Gdy do takiego wapna dolewamy wody, tworzy się już tylko tak zwane mleko wapienne.

Wapno bywa kruche, choćby było nawet nadzwyczaj gęste. Jeżeli jednak zmieszamy mleko wapienne z piaskiem, tworzy się masa, która po wyschnięciu z każdym dniem staje się twardszą. Taką masą spajają cegły.



Wiejski warsztat garncarski

Widoki z Podhala



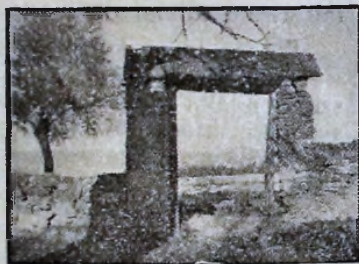
Stary garncarz



Gazdzina przy kołowrotku



STARY KOŚCIOŁEK PODHALAŃSKI. Kościół od strony kapliczki z wyrzeźbionym w drzewie lipowym Ogrójcem



Bramka na małą górską drogę



Przed domkiem podhalańskim



„Chata” zbudowana własnoręcznie ze... śniegu i lodu, t. zw. „Igloo”, przez warszawskich uczestników obozu harcerskiego w Dolinie Pięciu Stawów w Tatrach